

tym względem od założeń rachunku sumienia człowieka współczesnego. Wartościami moralnymi żyją nie tylko jednostki w każdym czasie, ale żyje nimi ludzkość jako gatunek, i z tej też racji trudno by było wskazać na wiedzę bardziej wartościową dla człowieka od wiedzy o wartościach moralnych.

Publikacje dotyczące form i norm życia wewnętrznego cieszą się bez wątpienia znaczną poczytnością, dziwić tylko może, że najczęściej są to dzieła nieprofesjonalistów, którzy zwłaszcza w szerokim, popularnym odbiorze preferowani są właśnie jako tacy. Zarysowuje się w ten sposób sytuacja dość paradoksalna: w sprawach ściśle moralnych za eksperta uważany jest potocznie raczej psycholog czy lekarz, w dalszej dopiero kolejności etyk moralista. Czym wytłumaczyć tę dziwną dewiację w zakresie „poczucia kompetencji”? Czyżby zbyt wielu etyków uprawiało swoje rzemiosło w sposób za mało uwrażliwiony na autentyczną normę moralności, jaką jest godność ludzka? Chodzi o tę elementarną wartość ludzkiej osoby, której potwierdzanie w działaniu stanowi samą istotę zasługi moralnej i źródło powszechnej chwały. Nie jest to wartość człowieka już doskonałego ani nawet dążącego do doskonałości, ale wartość każdej osoby ludzkiej, choćby tylko poczętej, a jeszcze nie narodzonej. Z tą właśnie wartością należy liczyć się w działaniu, które o tyle jest etycznie wartościowe, o ile udziela na jej apel stosownej odpowiedzi. Wartość osoby ludzkiej — owa „godność ludzka” — nie jest wartością moralną sama w sobie, nie jest punktem dojścia etyki, ale jej punktem wyjścia. Natomiast jej potwierdzenie — i niejako uobecnienie — w postawach i w działaniu (także w uprawianiu filozofii, a zwłaszcza etyki) jest właśnie w ścisłym sensie moralnie wartościowe i tylko ono w gruncie rzeczy. O tym pamiętać powinniśmy — jako etycy — przede wszystkim.

TADEUSZ STYCZEŃ SDS

OBJAWIAĆ OSOBE...

Etyka odnajduje samą siebie dopiero wówczas, gdy staje się orędziem o godności osoby. Głównym przeto, jeśli wręcz nie jedynym zadaniem etyka, właściwą jego rolę, posłannictwem społecznym jest pozostawanie w służbie tego orędzia. Głoszenie go w sposób najbardziej przekonujący, efektywny. I to jest właściwie wszystko, co mam do powiedzenia na temat tego, jak widzę rolę etyka wobec innych, wobec współczesnego mu społeczeństwa. Równocześnie zdaję sobie przecież dokładnie sprawę z tego, że właściwy problem zaczyna się gdzie indziej, nieco dalej. Polega on na wskazaniu owego maksymalnie skutecznego sposobu głoszenia orędzia osoby. Który to sposób jest najodpowiedniejszy, najwłaściwszy, najskuteczniejszy? Oto pytanie!

Czy sposób ów nie polega koniec końców na pokazywaniu osoby, na jej coraz głębszym odkrywaniu? Na ujawnianiu wszelkimi dostępnymi środkami, że w świecie nas otaczającym nie istnieje nic, co byłoby bardziej godne od osoby lub nawet jej równie godne? Ale oto kolejne pytanie: jak to zrobić? Czy najstosowniejszym środkiem do tego celu jest pisanie rozpraw etycznych, publikowanie pod-

rażników w wysokich nakładach? Nie chciałbym w niczym umniejszać ich społecznej przydatności do wyżej wymienionego celu. Równocześnie jednak nie umiem tu nie przypomnieć Sokratesa, etyka, który nie pozostawił po sobie żadnego pisanego słowa. Nie dlatego, że pisać nie umiał lub był leniwy. Mimo to potomność obdarzyła go szacownym imieniem ojca etyki. Czym sobie Sokrates na ten zaszczytny tytuł zasłużył?

Maritain w swej *La philosophie morale* nazywa Sokratesa „odkrywcą moralności” podkreślając, że wskazał on na znak równości pomiędzy wrażliwością na godność osoby a wrażliwością moralną w czasie, kiedy wrażliwość moralną nągminnie utożsamiano z wrażliwością na własne szczęście lub nakaz jakiegoś autorytetu. Jest to niewątpliwie wystarczający powód do uznania Sokratesa za wielkiego wśród etyków, ale czy już dostateczny tytuł do uznania go za ojca etyki? Wszak to samo długo wcześniej wieścił Sofokles w *Antygonie*. Czy zatem Sokrates nie zarobił sobie na ojcostwo etyki raczej przez to, że sens swego życia upatrywał w nieustrudzonej służbie rozbudzania respektu dla godności człowieka wśród siebie współczesnych? W pomaganiu innym w odkrywaniu tej godności w sobie, w drugich i budzeniu w ten sposób dla niej szacunku? Służbę tę Sokrates nazywał nawet duszpasterzowaniem i przyrównywał ją do roli akuszerza. Nie można się za nikogo narodzić. Trzeba to zrobić samemu. Ale można drugiemu pomóc w narodzinach. Pomoc ta jest ważna. Dlatego akuszer czy akuszerka to rola społecznie cenna i ceniona. Ulatwiając drugiemu poznanie samego siebie, samopoznanie, pomaga mu się w powtórnych narodzinach, narodzinach moralnych. To narodziny do człowieczeństwa w człowieku. Odkrycie siebie w sobie Sokrates uważał za rzecz istotnie rozstrzygającą w kształtowaniu się autentycznej postawy moralnej człowieka. Wykluczał bowiem możliwość, by ktoś mógł jeszcze zachowywać się w sposób uwłaczający swej godności, gdy tylko ją dostatecznie rozpoznał, gdy tylko poznał samego siebie. Gdyby wówczas ceną jej ocalenia okazała się utrata własnego życia, zapłacenie jej byłoby moralną oczywistością. Sokrates był konsekwentny do ostatka. Jego decyzją, zgoda na własną śmierć, ma po dziś dzień odkrywcą dla wielu moc. Pomaga też niejednemu w narodzinach moralnych. Ale Sokrates nim jeszcze umarł, akuszerował w tych narodzinach asystując innym w „samopoznaniu”. Stosował przy tym metodę „Per opposita cognoscitur”, tj. metodę kontrastu pokazując, że ja, ty, on, ona, my... jesteśmy nieprzyrównywalni do czegokolwiek innego w świecie. Kontrast ten pokazywał słowem, niekiedy zaprawionym trzeźwiącą ironią.

Bynajmniej nie kpił z drzew, gdy mówił, że go niewiele interesują. Kpił z tych raczej, którzy jednym tchem, z równą powagą mówili o drzewach i o człowieku, którzy człowieka na równi z wierzwą uznawali za część kosmosu. Nie oszczędzał więc filozofów przyrody, będących niekiedy uosobieniem niedowidzenia, jeśli wręcz nie ślepoty. Posługując się kontrastem wspomagany ironią, żywił nadzieję na przebudzenie swego rozmówcy, na ozdrowienie wstrząs odkrycia w sobie godności człowieka, jego „inności” w świecie. Czy kosztem degradacji kosmosu? Bynajmniej! Trudno przecież pomyśleć wspanialsze tło jako kontrast do pokazania dostojeństwa człowieka. Na takim tle człowiek nic nie traci. Owszem, jeszcze zyskuje, skoro nawet do takiego tła przyrównany okazuje się... niezrównany. Wierzyby są piękne i mogą zachwycić. Podobnie jak gwiazdy. Mogą też, a nawet winny — gdy tylko umie się na nie patrzeć! — wyzwać w nas radość z samego faktu, że są. A przecież wolno pastuszkom ścinać gałązki wierzby i kręcić fujarki, by potem wygrywać na nich melodie, by się bawić. Wolno też, nawet trzeba karczować wierzby, gdy stają się przeszkodą w zbudowaniu nowej drogi z wioski do wioski lub w skróceniu czy wyprostowaniu drogi starej. Aby ludziom

było bliżej do siebie. Rzecz nie do pomyślenia, aby coś podobnego wolno było zrobić z kimkolwiek z ludzi, nawet dla dobra całej ich reszty. Byłby to moralny absurd. Kto w ten sposób chciałby mierzyć swe działanie, dawałby dowód, że pilnie potrzebuje narodzin. Nie ma bowiem najmniejszego pojęcia, w czym tkwi istotna wartość całej reszty, której chce „służyć”. Nie widzi, że wartość reszty dostrzega się dopiero wówczas, gdy dostrzega się i docenia wartość każdego z osobna. Dlatego też morderca jest nieskończenie bardziej pożałowania godny od swej ofiary. „Przyjemniej jest być mordowanym aniżeli mordować!”

Nie wyobrażam sobie, by etyk naszych dni miał lub mógł inaczej od Sokratesa widzieć i próbować wypełniać swe społeczne posłannictwo. Wypełnianie tego posłannictwa może oczywiście przybrać różną postać, również formę pisania podręczników lub monografii etycznych. Rzecz w tym, czym i jak wypełni się zawartość owych podręczników i monografii. Rozstrzygające wydaje się tu jedno: skupienie całej uwagi na ogniskową moralności, jaką jest jej *dramatis persona*, osoba, jej godność.

Efekt ten osiąga Pascal w *Myślach*¹ prostymi, krótkimi, lapidarnymi formułami lepiej chyba od niejednego potężnego w objętość podręcznika etyki. „Człowiek jest tylko trzcina, najwęższą w przyrodzie, ale trzcina myśląca...”

„[...] przestrzenią wszechświata ogarnia mnie i pochłania jak punkt; myślą ja go ogarniam.”

„Wszystkie ciała, strop niebieski, gwiazdy, ziemia i jej królestwa nie mogą się równać wartością z żadną myślą; ona zna to wszystko i siebie, a ciała nie nie znają.”

„Wszystkie ciała i wszystkie umysły razem, i wszystkie ich twory nie są war- te najmniejszego drgnienia miłości: jest bowiem z dziedziny nieskończenie wyższej.”

„Ze wszystkich ciał razem nie można by wydobyć najmniejszej myśli: to jest niemożliwe, to inna dziedzina”.

Może więc jakoś tak należy pisać nasze podręczniki etyki, jak Pascal pisał swe *Myśli*? Ale nie inne efekty uzyskują właściwymi sobie środkami również poeci, dramaturdzy, literaci. Dlaczegożby im zatem nie udzielić głosu w wykładzie etyki, w twórczości pisarskiej w dziedzinie, w której koniec końców o jedno tylko chodzi: o objawienie osoby i jej zaafirmowanie? Czy twórcy wielkiej literatury nie przejęli po części roli, którą etyce zaniedbali z fałszywego wstydu, by przypadkiem nie uchodzić za... literatów?

Eugeniusz Jewtuszenko powiedział, że poezja to filozofia życia w koncentracji. Oto jak kończy się jeden z jego wierszy:

„Czym zaczął żyć?

Jeszcze nie zaczął...

Czym kochał?

Chyba nie kochałem...”²

Nie zacząłem żyć, jeśli nie zacząłem kochać. Zaczynam żyć dopiero, gdy kochać zacznę. Nie to tutaj jest ważne, że w sformułowaniu Jewtuszenki mamy Sokratesa i Pascala w koncentracji. Ważne jest tu, że z czymś takim Jewtuszenko zwraca się do współczesnych sobie i jest tam u siebie doskonale rozumiany. Wmawiać zdrowemu człowiekowi, że nie żyje, gdy nie kocha, i z całą powagą do niego wołać „Wstać!” to istotnie rzecz szokująca. I odkrywcza z tego właśnie powodu. Zaiste, taka poezja to etyka w koncentracji. Wiadomo bowiem, o jakiego życia filozofii mówi Jewtuszenko. Dlatego też on jest etykiem swego rozległego Kraju.

¹ Warszawa 1977.

² E. Jewtuszenko. *Wiersze*. Warszawa 1967 s. 11.

Świadomie nie oddziela etyki od poezji św. Franciszek z Asyżu. Biegając po osiedlach Umbrii wprawia w zdumienie mieszkańców wołaniem „Miłość jest nie kochana!”. Do etyki i poezji dodaje jeszcze coś, co jest najważniejsze. Co? Zaskoczeni jego zachowaniem mieszkańcy skłonni byli sądzić, że oszalał. A może to nie Franciszek oszalał, lecz ci, którzy jego zachowanie za coś szalonego, a swój pełen świętego spokoju bezwład za coś normalnego, wzięli?

Wydaje mi się, że swoje posłannictwo etyk — czy to jako autor, czy to jako wykładowca — wypełnia, gdy dopuszcza do głosu tych, którzy umieją w taki oto sposób odkrywać osobę. I gdy sam próbuje to jakoś na swój sposób — także poza salą wykładową i warsztatem pisarskim — robić. Przykładem takiego rozumienia i spełniania swego posłannictwa był dla mnie — i jest — mój Mistrz etyki. Ucząc etyki i pisząc książki z jej zakresu nie kodyfikował wyraźnie swej roli etyka. Nikt jednak słuchający wykładów autora *Miłości i odpowiedzialności* lub czytając jego dzieła, nawet tak niełatwe jak *Osoba i czyn*, nie mógł się i nie może nadal oprzeć przemożnemu naporowi żywego świadectwa, składanego godności osoby. Zafascynowanie osobą, jej godnością, oraz żarliwość o fascynowanie nią innych, stanowi duszę tego świadectwa. Nie wszyscy słuchacze wykładów wiedzieli wówczas o unii osobowej etyka Karola Wojtyły i poety Andrzeja Jawienia. Gdy się jednak o tym dowiadywali, rzadko bywali tym zaskoczeni. Poeta Andrzej Jawień był ciągle obecny w Karolu Wojtyłe etyku: wykładowcy i autorze. I nie tylko wykładowcy i autorze. Ten jeszcze jeden przypadek tego rodzaju unii nie jest więc może aż tak przypadkowy...

Poszukiwanie najbardziej skutecznego sposobu odkrycia godności osoby ludzkiej nie może etyka nie zaprowadzić do chrześcijaństwa i nie wzbudzić w nim pragnienia prowadzenia do niego innych z zamiarem skłonienia ich do spojrzenia na osobę z perspektywy Wcielonego Słowa. Gdyby nawet chrześcijaństwo uznać za wielki mit, jak chcą niektórzy, nie można by mimo to odmówić mu jego niepokojącej godnością człowieka mocy. Chcemy tego dowodów? Mamy nasze własne, polskie. „Chrześcijananie niewierzący!” Sami sobie tę nazwę wymyślili. Kto nie słyszał owego namiętnego apelu jednego z nich do teologów katolickich, by nie ulegali pokusie „świeckiego humanizmu” i nie zabierali przez to ludzkiej kulturze jedynej szansy pozostania na... ludzkim poziomie? Trzeba przejść siebie, by pozostać... sobą!

Już wyżej podkreśliłem, że wartość ludzkiej społeczności dostrzega się dopiero wówczas, gdy widzi się i docenia wartość każdego z osobna. Każdego z... osobna! Tu właśnie jawi się chrześcijaństwo z właściwą mu perspektywą spoglądania na osobę, tu tkwi chrześcijaństwa odkrywczwa moc. Ale etykowi nie wolno chyba nie zauważyć, jak bardzo ta perspektywa leży na linii naszych naturalnych przeczuć moralnych. Wartość każdego z... osobna. Czy nie tutaj tkwią korzenie polskiego słowa „osoba” i tego słowa najistotniejszego rdzenia znaczeniowego? I czy nie od tej strony odsłaniają się nam najgłębsze korzenie osobowej godności ludzkiego indywiduum mimo całej jego tajemnicy? Istotnie, trzeba już sporo wiedzieć o osobie, aby szukać dla niej miejsca na parniasie tego widzialnego świata. Wszystkie wyniki sondaży czynionych przez filozofów, niezależnie od tego z jakich obszarów osoby pochodzą pobrane przez nich „próby”, jednoznacznie prowadzą na ten szczyt: „Persona est aliquid perfectissimum in entibus!”. A przecież mimo całej doniosłości tego rodzaju badania osoby, właściwe jej odkrycie leży poza jego obrębem, powyżej granicy tego, co porównywalne i sprowadzalne do wspólnego mianownika. Osobę bowiem odkrywamy nie tylko wtedy, gdy zauważamy, że jest nieprzównywalna do czegokolwiek innego w tym świecie, lecz zarazem wtedy, gdy

zauważamy, że każda z nich jest na swój sposób również do żadnej innej nieprzyrównywalna, że jest inaczej, że jest właśnie... osobno. Osobność ta wskazuje na jedyne dla każdej osoby oblicze, dające jej niepowtarzalność, nieporównywalność... Czy zauważamy, że musimy się ciągle tutaj posługiwać językiem negacji? Cóż bowiem i jak moglibyśmy tu pozytywnego pomyśleć i powiedzieć? Możemy co najwyżej patrzeć na twarz drugiego. I... domyślać się poza nią niedostępnego nam wewnętrznego krajobrazu. Bo nawet twarz krajobraz ten bardziej odsłania niż odsłania. Oto dlaczego osoby niepodobna odkryć myślą, operującą zrodzonymi z porównań pojęciami ogólnymi. Oto dlaczego nie można jej wyrazić tym bardziej językiem, w którym nazwy, a nawet imiona własne, skazane są na pełnienie generalizujących funkcji. „Niejednemu psu na imię Burek”. Trzeba by nam tyle różnych imion, ile jest osobowych istnień, ile osobnych istnień, ile różnych „z osobna” osób zjawiało się, zjawia i zjawi na tym świecie. I trzeba, by imiona te nie tylko zewnętrznie były „naklejane” — niczym etykiety — na osoby, ale żeby wyrażały, odsłaniały i wypowiadały ową jedyność i niepowtarzalność każdej z osobna. Innego niż ludzkie poznanie by trzeba, by odkryć osobę, odsłonić „bez reszty”. Innego niż ludzkie słowa by trzeba, by osobę „bez reszty” wyśłowić, wypowiedzieć. Czyjego?

W każdym razie, jeśli osoba jest poza granicą tego, co dostępne myśli i wyrażalne językiem, to we wszelkich próbach odkrywania osoby trzeba bezwzględnie uświadomić sobie — i innym — wagę tego doniosłego momentu, w którym staje się w obliczu niedostępnego i niewyraźnego w osobie. Na progu jej tajemnicy. Wobec zasłony. *Ineffabilis!* Tym jednym słowem ostrzeżenia mówi św. Tomasz z Akwinu więcej o osobie niż wszystkie antropologie filozoficzne razem wzięte — pokartezjańskich egologii nie wyłączając! — usiłujące jakoś przecieżyć „zdefiniować” osobę. Geniusz Tomusza polega na tym, że jest tego świadom. Świadom doniosłości, a zarazem pałupa możliwości, wiedzy o osobie, jaką daje jakaś jej „definicja”, i świadom granicy, od której trzeba z wszelkich definicji rezygnować. U takiego mistrza warto się uczyć! Etyki także! I jak jej uczyć!

Ineffabilis! To wezwanie do milczenia na temat osoby w obliczu jej tajemnicy. Jakże jednak... odkrywcze jest to wezwanie! „Bacność! Osoba!” Nie miejsce już na słowa. Na co jest jeszcze miejsce?

Tego, kogo nie jesteśmy w stanie poznać „bez reszty”, poznajemy wszak na tyle, by dostrzec powinność i możliwość zaafirmowania go „bez reszty”. W tym przypadku jednak „bez reszty” znaczy „w całości”, tj. wraz z jego tajemnicą. A przecież właśnie wtedy w nas potrzeba przejrzenia tej tajemnicy do dna. Zwłaszcza, gdy powinność afirmowania osoby staje się potrzebą zaafirmowania jej dla niej samej, potrzebą serca. Nie czysto poznawcza to pasja, ciekawość. Tego przejrzania potrzebują miłujący, by jego miłość mogła się stać w zupełności na miarę jej adresata! By to pojąć, wystarczy przypomnieć sobie ów osobliwy rodzaj tęsknoty przeogromnej, która nas ogarnia w momencie oglądania twarzą w twarz niewypowiedzianej bliskiej osoby, w chwili gdy dane jest nam patrzeć jej wprost w oczy. Innego *facies ad faciem* nam potrzeba, by spotkania nasze stały się spotkaniami na miarę naszej pojemności.

Boecjusz wypowiedział kapitalną prawdę o osobie, określając ją jako „*rationalis naturae individua substantia*”, a Pascal nazywając ją „trzcina myśląca”, Kant umieszczając osobę w „królestwie celów wsobnych”, Scheler widząc w niej „podmiot stanowiący ognisko odniesień do wartości i ich przeżywania...”. Wszystkie te i szereg innych prób tego typu, to ważne pozycje w „odkrywaniu” osoby. Ale wszystkie one odkrywając osobę, równocześnie „zrównują” poszczególne osoby do wszystkich pozostałych. Zamazują im twarze, odbierają im właśnie ich „osobność”

stawiając w rzędzie innych niczym egzemplarz tego samego nakładu książki. Gdzież tu jest jeszcze ta oto tu osoba? Ta przed nami tu stojąca? I gdzie zdobyć moc, od kogo przenikliwości pożyczyc, aby się przebić poprzez zaslonę do jej „nagiej” jedyności. Aby ułatwić miłości zaafirmowanie osoby na jej miarę. To miłość przynagla do zdjęcia zaslony, ona potrzebuje objawienia. „Quis ostendit nobis bona?” — to pytanie „niespokojnego serca”.

W kontekście doświadczenia tej oto potrzeby i niemocy jej zaspokojenia jakże niewiarogodnie wiarygodnie brzmi język starotestamentowego objawienia. Mowa tam o „wezwanie każdego po imieniu”, o wezwaniu, które stwarza obdarzając jedynym imieniem, od wieków przez Miłość „pomyślanym”. Lub dodając do imienia od wieków przez miłość „myślanego” wymiary rzeczywistego istnienia. Jestem dla kogoś bez reszty znany i bez reszty kochany, skoro... jestem. Inaczej nie byłoby mnie! Jesteś dla kogoś bez reszty znany i bez reszty kochany, skoro, jesteś! Jesteśmy dla kogoś bez reszty... znani i kochani, nawet jeśli sami siebie bez reszty nie znamy. Jest tedy też ktoś, czym widzeniem i czyją miłością moglibyśmy dotknąć drugiego wprost „myślą i sercem”, ktoś, w którego „blasku” można by zobaczyć osobę bez osłony, gdyby nam zechciał tego blasku użyzyć... In lumine tuo videbimus lumen!

Objawienie chrześcijańskie mówi o tej nadziei jako o nadziei spełnionej. Spełnionej przez wydarzenie, jakim jest wcielenie Słowa Bożego. Nadzieja ta jednak zostaje spełniona nieoczekiwanie inaczej... Mrok tajemnicy osłaniającej osobność osoby ma nadal pozostać, aż skończy się czas próby dla miłości. Aby mogło być miejsce na miłość najtrudniejszą i najpiękniejszą zarazem: na miłość w postaci wiary i zaufania. Lecz Słowo Boże przychodząc w postaci człowieka do „każdego człowieka na ten świat przychodzącego” chociaż nie odsłania niczyjej „osobności” do końca, objawia natomiast godność każdego z osobna do niesłychanych wprost rozmiarów. Wcielenie — to pokazowa lekcja na temat tego, ile jest wart w sobie każdy człowiek z osobna, skoro taką wartość przedstawia dla Boga. Jest wart... wcielenia! Miarą wartości człowieka, jego godności, jest czyn, na który Bóg był gotów wobec człowieka: „posłać swego Jednorodzonego Syna na świat”, „na okup za nas”. Czyn ten to przez samego Boga podjęta „ostateczna próba” przekonania człowieka, ile jest wart. Na koniec Bóg objawia się człowiekowi, aby człowiekowi objawić człowieka. Bóg objawia się człowiekowi... To rzecz zdumiewająca. Jeszcze bardziej jednak jest zdumiewające, dlaczego to czyni: Cur Deus homo? By człowiekowi objawić człowieka! Propter nos descendit de coelis! Słowo Wcielone u stóp niewiernego ucznia ma pod tym względem wymowę uniwersalnego a zarazem najbardziej zindywidualizowanego symbolu: Bogu chodzi o zamierzone położenie WSZYSTKIEGO „u stóp” osoby, by w ten sposób wywołać w niej blysk oślenia: zobacz kim jesteś, skoro jesteś tym oto dla mnie!

„A Słowo ciałem się stało i zamieszkało w nas”. Powiedzenie św. Jana stanowi skrót ewangelii, radosnej wieści o spotkaniu Boga z każdym z osobna. Ewangelia jest w całości tymi spotkaniami wypełniona. Każde z nich tchnie jednością, nawet wyłącznością. Każdemu z osobna wyznaje Bóg w Słowie Wcielonym swą — za każdym razem inaczej — jedyną w swym rodzaju nieskończoną miłość. Każde spotkanie w ewangelii, nie tracąc nic ze swej jedności, jest zarazem paradygmatem spełnionej nadziei każdego człowieka: moje spotkanie z Nim też jest takie, jedyne, „osobne”. I nie może być inne! Każde jest jedyne. Każde też jest zapowiedzią spotkania bez zasłony, *facies ad faciem*, spotkania z Osobą. I spotkania osobie w Osobie w wiecznej *communio personarum*. „Dziś jeszcze będziesz ze mną w raju”.

Jak ma etyk głosić orędzie o godności osoby dzisiaj? Jeśli etyka jest orędziem

c godności osoby i jeśli etyk ma być tego orędzia głosicielem, zatroskanym o maksymalną skuteczność swego posłannictwa dla innych, to nie może nie zwrócić się sam i nie odsyłać innych do „etyka wszechczasów”, etyka, jakiego zesłał nam Ojciec w swym Synu Jednorodzonem. Nie może nie skorzystać z tej zupełnie wyjątkowej szansy objawienia osoby, jaką jest objawienie, stając się z wyboru tegoż objawienia sługą. Od momentu odkrycia, że objawienie to objawienie osoby *par excellence*, etyk nie może nie korzystać z szansy frapowania swych współczesnych pytaniem: *Cur Deus homo? Cur?* Dlaczego Bóg człowiekiem?, pytaniem o niezwyklej, właśnie rewelacyjnej, mocy, mocy odsłaniającej, objawiającej. A może by tym właśnie pytaniem zatytułować podręcznik etyki dla naszych współczesnych? Św. Anzelm nie wzięłby nam chyba tego za złe. Byłby przecież przez to sam również uhonorowany. Uonorowany tym, że tytuł, który sam swej rozprawie niegdyś nadał, promieniuje nadal niegasnącą mocą: objawia osobie osobę światłem objawiającej się w człowieku Jezusie Chrystusie osoby Słowa Bożego. Sposoby najlepsze odznaczają się tym, że nie ulegają dezaktualizacji. Nie starzeją się. Posługiwanie się pytaniem: *Cur Deus homo?* w celu objawienia człowiekowi jego godności, jest jednym z tych właśnie sposobów. Dlatego staram się go sobie przyswoić. Chcę bowiem jako etyk możliwie najlepiej objawiać osobę...

ANDRZEJ SZOSTEK MIC

NIE MAPE, LECZ BUSOLE DAĆ DO RĘKI...

Pytanie, z jakim zwraca się Redakcja niniejszego zeszytu „Roczników Filozoficznych” do uczestników swej miniankiety, ma wyraźnie charakter osobisty, typowy zresztą dla ankiet: pytający oczekuje własnej, indywidualnej odpowiedzi, opartej bardziej na osobistym doświadczeniu zapytanego niż na erudycji. Ranga odpowiedzi zależy więc od tego, jak bogatym doświadczeniem uczestnik ankiety dysponuje. Z góry pragnę się zastrzec, że moje doświadczenie jest małe, toteż swój głos traktuję nie jako definitywną i pełną odpowiedź, lecz raczej jako sugestię, w której obok próby odpowiedzi zawarta jest także wątpliwość, czyli nadal pewna forma pytania.

Ostrożność moja płynie nie tylko z poczucia niezbyt wielkich kompetencji w dziedzinie, której ankieta dotyczy. Wydaje mi się ponadto, że społeczna funkcja etyka jest dziś istotnie nieco inna i mniej jasna niż dawniej. Niedawno pewien znajomy ksiądz pytał mnie, dlaczego etycy nie zajmują się obecnie opracowaniem nowego podręcznika etyki szczegółowej, uwzględniającego osiągnięcia współczesnej wiedzy o człowieku i świecie. W pytaniu tym zawarty był wyraźny zarzut: ksiądz ten, jako duszpasterz, potrzebuje dla siebie i dla tych, wśród których pracuje, jasnych, popartych autorytetem fachowca moralisty, wskazówek określających właściwy z moralnego punktu widzenia sposób rozwiązywania szczegółowych kwestii dotyczących etyki małżeńskiej, prawidłowego godzenia obowiązków względem Boga i bliźniego, etyki zawodowej itp. Istotnie, moralisci niezbyt cętnie